

## Gimnazjum i harcerstwo w Szczepieszynie

Dnia 26 lipca 1944 r. Szczepieszyn, po kilkuletniej okupacji niemieckiej, został zajęty przez oddział por. Tadeusza Kuncewicza ps. „Podkowa”, dowódcę II batalionu 9 pułku piechoty Armii Krajowej Ziemi Zamojskiej. W kilka godzin później weszły do Szczepieszyna oddziały Armii Czerwonej.

„Dzień 26 lipca 1944 roku oraz kilka dni i nocy następnych, był dla mieszkańców Szczepieszyna okresem wielkiego szczęścia, odzyskania wolności. Kto nie przeżył koszmaru wojny totalnej i ludobójczej okupacji, niepewności o życie własne i bliskich, wysiedlania, rozdzielenia rodziców od dzieci, pacyfikacji, aresztowań, rozstrzeliwań, obozów koncentracyjnych, ten z trudem potrafi wczuć się w ściskające gardło, dławiące wzruszenie szczęścia wolności” pisze dr Andrzej Józwiakowski.

Niestety, pełnia szczęścia trwała zaledwie cztery dni. Oddziały partyzanckie stacjonujące w budynkach Gimnazjum i Liceum zostały przez NKWD rozbrojone. Znaczna część partyzantów nie oddała jednak broni i uznając, że rozkaz o rozbrojeniu mogą wydać tylko władze z Londynu, z powrotem poszła do lasu. Zaczęły się walki z jednostkami UB, a także z jednostkami NKWD—trwające kilka lat.

Natomiast po wyzwoleniu zaczęły się starania o powołanie w Szczepieszynie średniej szkoły- kontynuatorki przedwojennego Gimnazjum i Liceum. Z powszechnymi nie było problemów, bowiem działały cały czas tyle, że z okrojonym podczas okupacji programem.

Gmach szkoły średniej był zajęty podczas okupacji, przez wojsko niemieckie. Część ściany parteru zostało zburzone i łącznie ze znajdującą się obok salę gimnastyczną przerobione na warsztat remontowy samochodów. Po wyzwoleniu budynek, łącznie z warsztatem samochodowym, zajęły wojska sowieckie. Książki, pomoce naukowe i wyposażenie zostało zniszczone, kadra rozproszona. Dyrektor Gimnazjum i Liceum Józwiakowski (brat lekarza Stefana) był w niewoli niemieckiej.

Dla organizacji gimnazjum i liceum powołano komitet organizacyjny w skład, którego weszli: ksiądz Kapalski, dr.Klukowski, dr Józwiakowski, mój ojciec, (który został potem przewodniczącym komitetu rodzicielskiego) i inni. Kuratorium wyraziło zgodę na uruchomienie szkoły pod nazwą: Państwowe Gimnazjum i Liceum w Szczepieszynie. Na dyrektora zastała powołana pani Janina Józwiakowska, żona przedwojennego dyrektora.

Entuzjazm i pęd do wiedzy był nieopisany. Nie mam dokładnych danych, ale liczba chętnych liczyła się w setkach. Z wszystkich okolic Szczepieszyna tłumnie ściągała młodzież chłopska, która pierwszy raz w historii uzyskała możliwość naprawdę powszechnej, bezpłatnej nauki w szkołach średnich, a potem wyższych. Przy panującej przed wojną biedzie tylko znikomym procent rodziców ze wsi, lub małych miasteczek mógł sobie pozwolić na wydatki związane z kształceniem dzieci. Nie wiem czy np. moi rodzice zdołaliby, w warunkach swoich przedwojennych możliwości finansowych, dać czworgu dzieciom wyższe wykształcenie. Możliwości te sięgałyby pewnie nie wyżej niż seminarium nauczycielskie w Zamościu.

Dużym problemem stał brak pomieszczeń dla klas uczniowskich, gdyż, jak napisałem wyżej, główny budynek i dwa budynki skrzydłowe, zajęły wojska sowieckie. Wkrótce w oddanym przez miasto budynku magistrackim vis a vis

gimnazjum, w którym przed wojną mieścił się areszt powszechnie zwanym kozą, oraz parterowym budynekczku obok, zwanym przed wojną małą szkołą, rozpoczęły się lekcje. Tłok był ogromny.

W niedługim czasie powstała Szkoła Zawodowa, gdzie zaczęła uczyć moja mama. Następnie przeniosła się do pracy w szkole podstawowej w Brodach Dużych, gdyż powstał tam dodatkowy etat. Na jej miejsce do Szkoły Zawodowej poszedł uczyć mój ojciec.

Oto grono pedagogiczne Gimnazjum i Liceum w Szczepieszynie w roku szkolnym 1944/45:



Z książki: ZHP w Szczepieszynie dr Andrzeja Józwiakowskiego

**Górny rząd od lewej stoją:**

Józef Niechaj- j. angielski, Sobiecki- gimnastyka, Jan Kot- prace ręczne, Pilip- woźny, Jerzy Lubos- łacina, Buczko- woźny, Antoni Pomarański- matematyka, Kazimierz Jonko- śpiew, Jan Podlewski- biologia, Sławek- fizyka, chemia

Siedzą od lewej: Kreda-Kilarska- rysunki, Kołodziejczykowa (nie krewna)- sekretarka, Sobiecka- j. polski, j. francuski, geografia, Ks. Michał Popielec- religia, Janina Józwiakowska – dyrektor - j. francuski, Ks. Franciszek Kapalski był kapelan oddziałów Armii Krajowej, późniejszy prokurator Kurii biskupiej w Lublinie- religia, Felicja Piwowarek- j. polski, Dr Stefan Józwiakowski- lekarz szkolny (ojciec dr Andrzeja Józwiakowskiego), Stefania Rzepecka- j. Niemiecki.

Krótko potem doszła pani Kopytowa z tytułem doktorskim- historia, a po roku 1946- moja ciotka i matka chrzestna Antonina Głazowska – geografia.

Byli to, prawie wszyscy, przedwojenni nauczyciele szkół średnich o znakomitym poziomie.

Wspomnę, chociaż kilkoro z powyższego grona. Profesor Lubos uczył przed wojną w polskiej szkole w Bytomiu. Mimo hitlerowskiego terroru szkoła, jako jedyna na Górnym Śląsku utrzymała się do samej wojny. Próbkę tego jak to się robi dał podczas wizyty pasterskiej w Szczepieszynie biskupa lubelskiego Stefana Wyszyńskiego. Przy bramie tryumfalnej zbudowanej koło gimnazjum witała biskupa ludność miasta i okolic. Ogromnie dużo ludzi, gdyż przed wojną i długi czas po wojnie biskup był bardzo, bardzo daleko i w ówczesnych czasach niezmiernie rzadko wizytował parafie, czasach kłopotów komunikacyjnych. Zwykle parafie wizytował ksiądz dziekan- był to wysokiej wtedy rangi hierarcha. Przy okazji trzeba wspomnieć, że podczas tej wizyty (16.6.1946 r.) biskup Wyszyński udzielił bierzmowania ponad siedmiuset osobom. Poprzednie bierzmowanie odbyło się w Szczepieszynie ponad dziesięć lat wcześniej.

Otóż w imieniu społeczeństwa witał biskupa profesor Lubos. Profesor zjechał nowy ustrój do ostatniego. Jednak w taki sposób, że żaden ze znajdujących się niewątpliwie w tłumie UB- owców nie mógł przyczepić się ani do jednego jego słowa. Widać było ogromną wprawę wyniesioną z polskiej szkoły w Bytomiu, gdzie trzeba było powiedzieć, co się myśli, ale w taki sposób, aby do konkretnych sformułowań nikt nie mógł mieć zastrzeżeń. Lubos uczył nas łaciny i każdemu w klasie nadawał przydomek, którym wywoływał ucznia do odpowiedzi. Ponieważ klasa wybrała mnie na wójta, wołał na mnie: sołtys.

Innym nauczycielem, którego chcę wspomnieć był Józef Niechaj. Dał nam świetne podstawy języka angielskiego łącznie z akcentem—koledzy, którzy bywali potem na stażach, bądź uczelniach angielskich ocenili je na znakomite. Później Niechaj, (który ożenił się z Krystyną Kimaczyńską córką ciotecznego brata mojego ojca- Stanisława) skończył prawo i był wziętym adwokatem w Szczepieszynie i Zamościu.

Niezapomniana była też pani dr. Felicja Piwowarek polonistka. Doskonała nauczycielka, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie z tytułem doktora, była także wychowawczynią naszej klasy.

Pani dr. Kopytowa, której nie ma zdjęcia, po przejściach „Rzezi wołyńskiej”, w której utraciła prawie całą rodzinę, uczyła nas historii. Nie wiem, dlaczego mnie niecierpiała—na radzie pedagogicznej powiedziała wychowawczyni, aby rozsadziła mnie z Jankiem Żołyńskim najlepszym wtedy moim przyjacielem, z którym siedziałem w jednej ławce. Z krótkim proroctwem, które się chyba nie sprawdziło: z Żołyńskiego jeszcze coś będzie—z Kołodziejczyka już nic.

W październiku 1944 r. rozpocząłem naukę w Państwowym Gimnazjum w Szczepieszynie. Pierwsze dwie klasy w normalnym cyklu, a następne dwie w cyklu przyspieszonym. Cyklem przyspieszonym zostali objęci uczniowie, którzy w warunkach okupacji mieli stracone lata nauki. Moje opóźnienie wynosiło 2 lata, gdyż w normalnych czasach rozpocząłbym naukę w gimnazjum w roku 1942 r. Przyspieszenie polegało na przerobieniu trzeciej i czwartej klasy gimnazjum w ciągu jednego roku.

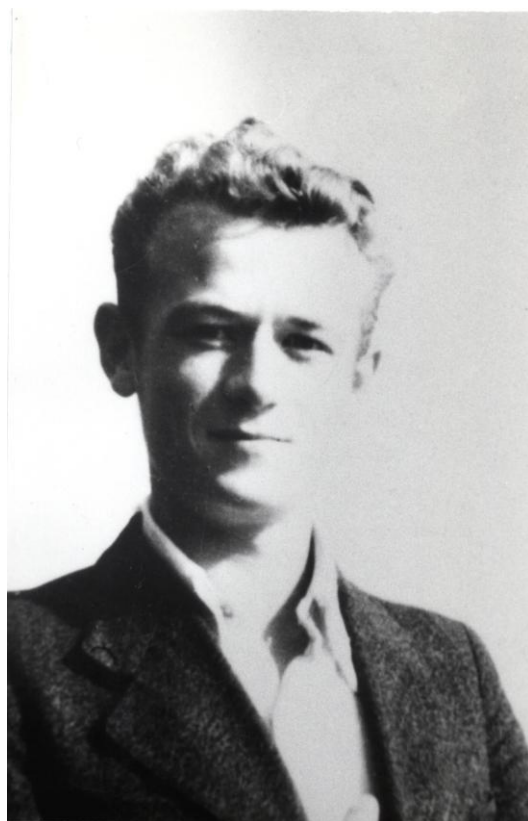
Przez kilka pierwszych lat obowiązywał przedwojenny cykl nauki. Sześć lat szkoły powszechnej, cztery lata gimnazjum zakończonych tzw. małą maturą, i dwa lata liceum zakończone dużą maturą. Po szkole powszechnej można było uczyć się w gimnazjum, lub zawodowych szkołach średnich np. w pięcioletnim seminarium nauczycielskim. W 1947 r. zdałem małą maturę. Przed wojną mała

matura pozwalała absolwentowi na pracę na niższych stanowiskach kolejowym, pocztowym, podoficerskim itp., lub naukę w Liceum. Duża matura, oficjalnie: świadectwo dojrzałości, dawało możliwość wstępu na uczelnie wyższe, albo pracę na średnich stanowiskach państwowych.

Niestety dziurawa pamięć przypomina mi tylko wybiórczo niektóre nazwiska koleżanek i kolegów, Marysia Żelaźnicka, Jadzia Dąbrowska, Huzarówna Mieczysława, której siedzący za nią Andrzej Józwiakowski z uporem rozwiązywał kokardę na warkocz, Gierczakówna, Budzyńska, Rysiek Guzowski, Wacek Drożdżyk, Czesław Szyduczyński, Sylwek Mucha, Marian Kopyciak, Sudak.

\* \* \*

W gimnazjum zaczął się prężnie rozwijać ruch harcerski. Zorganizował go w naszej szkole Zygmunt Kasztelan.



Ze zbiorów dr A. Józwiakowskiego

### **Zygmunt Kasztelan**

Był synem kapitana marynarki wojennej w Gdyni, szefa oddziału drugiego (wywiadu), który po dostaniu się do niewoli niemieckiej został przekazany gestapo i po zapewne potwornym śledztwie w Królewcu skazany przez Niemców na śmierć i stracony. Zygmunt przysłał mi kilka lat temu szczegółowy opis gehenny ojca. Jako szef wywiadu wiedział, jak i jego przełożeni, że nie może dostać się do niewoli. Zaproponowano mu ucieczkę. Jednak nie nadarzyła się okazja- przebywał na Helu. Przy kapitulacji komendant obrony Helu włączył go do swojego sztabu, jako zwykłego oficera ufając, że zakończy się to tylko pobyt w obozie jenieckim. Niestety, kpt.

Kasztelan został rozpoznany, zapewne przez kontrwywiad niemiecki, aresztowany i wywieziony do Królewca. Tam prawdopodobnie poddany nieludzkim torturom dla „wyciśnięcia” wiadomości, szczególnie o siatce wywiadu polskiego w Niemczech.

Kpt. Kasztelan prawdopodobnie dzięki swoim wiadomościom przewidywał los Polski w tej wojnie, gdyż na kilka tygodni przed jej wybuchem przywiózł z Gdyni do Szczepieszyna swoich dwóch synów i żonę.

Zygmunt był uczniem gimnazjum w Gdyni i harcerzem. Zorganizował drużynę harcerską w naszym gimnazjum, i został jej drużynowym, a mnie koledzy wybrali jego przybocznym. W kilka miesięcy po zakończeniu wojny wrócił do Gdyni, gdzie po ukończeniu studiów medycznych, uzyskał doktorat i pracował jako urolog.

Zostałem po nim drużynowym, a moim przybocznym został Tadeusz Kościelski adoptowany później przez dr. Klukowskiego.



**Drużynowy Romuald Kołodziejczyk**

Powstały dalsze drużyny harcerskie- II drużyna w szkole powszechnej w Szczepieszynie, której drużynowym został Ryszard Józwiakowski, syn pani Józwiakowskiej dyrektorki Gimnazjum i Liceum. W Brodach Dużych przy Szkole Powszechnej powstaje III drużyna z drużynowym Marianem Kopyciakiem na czele. Zaczęliśmy się wyżywać w działalności harcerskiej, obozach, grach terenowych, podchodach, musztrze itp. Oprócz piosenek harcerskich na porządku dziennym były pieśni partyzanckie. Wszystko to było pewną namiastką legendy partyzanckiej, tak żywej w Szczepieszynie i okolicy,

w której to partyzantce, ze względu na wiek, większość z nas nie mogła brać udziału. Ideę i formy działania harcerstwa znaleźliśmy tylko tyle, ile zdążył nas nauczyć w ciągu kilku miesięcy druh Kasztelan. To też nasza działalność często polegała na zabawie w wojsko, czy też, na przynależnej chłopcom w tym wieku, przysłowiowej zabawie w złodziei i policjantów, czyli na ściganych i ścigających.

Przygotowywaliśmy też ogniska, przy których dla zaproszonych gości śpiewaliśmy harcerskie piosenki, grali niewielkie scenki, wszystko o wydźwięku patriotycznym. Sprzyjała temu tradycja harcerska, niedawna wojna, i legenda walk partyzanckich z Niemcami w obronie Zamojszczyzny. Ponieważ nie było wielu atrakcji w Szczepieszynie, publiczność stawiała się dość licznie. Utkwiło mi w pamięci jedno z nich, gdyż było przyczyną skandalu długo mi wypominanego przez panią dyrektor.

Ognisko było bardzo uroczyste, nie pamiętam już, z jakiej okazji. Oprócz licznej publiczności przybyło prawie całe grono profesorskie na czele z panią dyr. Józwiakowską. Zaszczycił nas swoją obecnością rzadki gość- ksiądz dziekan. Nie wiem czy dzisiaj przybycie biskupa sprawia takie wrażenie, jak wówczas przybycie księdza dziekana. Publicznie udzielał się mało, a jeśli już, to liczni parafianie, a szczególnie parafianki podbiegały i z półukłkiem całowały łaskawie wysuniętą do pocałunku rękę księdza dziekana. Ksiądz dziekan, oprócz normalnej służby w swojej plebanii, która gotowała, prała, sprzątała i paliła w piecach, miał osobistego lokaja, którego pamiętam zawsze elegancko ubranego na ciemno, wypielęgowanego, dystyngowanie poruszającego się.

Z Tadkiem, wtedy jeszcze Kościelskim, zasięgnęliśmy rady dr. Klukowskiego, co do repertuaru. Otóż doktor, zapewne w najlepszej wierze, wyszperał krótki wierszowany skecz autorstwa Jurandota lub Tuwima. Scena rozgrywa się w sądzie, a występują w niej trzy osoby: sędzia, pobity obandażowany osobnik i cwaniak- czarny charakter z Pragi, Czerniakowa, czy Woli. Taki z opowiadań Wiecha lub piosenek Staszka Wielanka z Kapeli Na Chmielnej: weś lagie i jedź na Pragę.

Sceneria: ciemna noc, płonie pięknie ułożone ognisko, siedzą na ustawionych krzesłach ksiądz dziekan, pani dyr. Józwiakowska, przewodniczący Towarzystwa Przyjaciół Harcerstwa dr Stefan Józwiakowski, dr Zygmunt Klukowski. Za nimi stoją bądź siedzą nauczyciele i mieszkańcy Szczepieszyna. Idą śpiewy od pieśni śpiewanej przez wszystkich:

Płonie ognisko i szumią knieje  
Drużynowy jest wśród nas  
Opowiada starodawne dzieje  
Bohaterski wskrzesza czas  
O rycerzach z nad stepowych stanic  
O obrońcach naszych polskich granic  
A ponad nami wiatr szumi, wieje  
I dębowy huczy las.

Nastrój jest podniosły, poważny, bogoojczyźniany. I zjawia się Romuald Kołodziejczyk, jako Teofil Wąsik, warszawki cwaniak, Tadek Kościelski jako pobity, nie pamiętam już, kto za sędziego. I zaczyna się:

Sędzia: Teofil Wąsik jesteście oskarżeni o pobicie stojącego obok obywatela, o zakłócenie porządku na zabawie, naruszenie słowem i czynem

godności policjantów, uszkodzenia mienia i zdrowia. Co macie na swoje usprawiedliwienie?

Teofil Wąsik:

Sprawiedliwy kryminale  
Bujda, tak nie było wcale  
Nikt się nie bił, nikt nie kłócił  
Nikt niczego nie zakłócił  
Ten pan tylko podczas walca  
Ciągle deptał mi po palcach  
Ja mu na to i owo  
Ale tylko rozrywkowo  
Nieporozumienie towarzyskie  
Raz, dwa i po wszystkim  
On mi na to brzydkie słowo  
No to ja go na perłowo  
Od tatusia i mamusi  
Że mnie może, choć nie musi  
Wtedy on mnie pięścią w ciemię  
Wtedy ja go raz o ziemię.  
Wtedy on mi blachę w czoło  
Ale wszystko na wesoło  
Nieporozumienie towarzyskie  
Raz dwa i po wszystkim  
Tutaj wtrącił się pan władza  
Coś mamrocze i przeszkadza  
Ja mu, racja, bez potrzeby,  
Powiedziałem coś od gleby  
Coś z łajdakiem i coś z draniem  
Ale zawsze z uważaniem!  
Potem znów z tym pierwszym panem  
Też sądownie niekaranym,  
Raz po szczęce, raz po głowie  
Potem było pogotowie.  
Wtedy wszyscy na mnie hura  
Trzech cywili, dwóch w mundurach  
Dać się lekko nie wypada  
Z trzech na pięciu marmolada.  
Potem było to i owo  
Aż wezwano straż ogniową  
Dwa oddziały z motopompą  
Okazało się, że skąpo.  
Mnie już też to trochę złości  
Na jednego tyle gości  
Tyle tego?  
To i ja na całego  
I dawaj na łeb na szyję  
Z drogi śledzie, bo ubiję.  
I faktycznie w ten to sposób  
Ucierpiało kilka osób  
A po za tym to drobiazgi

Jedno krzesło poszło w drzazgi  
Jedna ręka i dwie głowy  
Oraz kredens orzechowy  
Stół, fortepian, dwa stoliki  
Trzech złamało obojczyki  
Jeden ciężko, biedaczysko.  
To już pewnie będzie wszystko.  
Nieporozumienie towarzyskie  
Raz dwa i po wszystkim

Ksiądz dziekan głośno wyraża swoją dezaprobatę, pani dyrektor kipi. Co ja na drugi dzień w jej gabinecie wysłuchałem, tego już w detalach nie pamiętam. Na pewno było to coś w rodzaju Jurandowego czy Tuwimowego: jedna ręka i dwie głowy oraz kredens orzechowy, stół fortepian dwa stoliki...

Drużyny harcerskie oprócz swoich zajęć brały udział w różnych uroczystościach szkolnych i podczas świąt państwowych.



Ze zbiorów dra A. Józwiakowskiego

Święto 3 maja 1946 r. Kolumna harcerska. Prowadzi Ryszard Józwiakowski. W pierwszej czwórce od lewej Tadeusz Kościelski (Klukowski), Romuald Kołodziejczyk, Marian Kopyciak, Jerzy Kołątaj.

Latem 1945 r., pojechaliśmy na pierwszy w życiu obóz harcerski w Wysokiem koło Zamościa. Był to, być może, pierwszy po wojnie obóz harcerski w Polsce.

Po powrocie z obozu na którejś ze zbiórek harcerskich wygłosiłem tzw. gawędę, której tematem było opowiadanie jak to było na obozie. Ponieważ nie byłem pewien swoich zdolności krasomówczych- najpierw ją napisałem.



Przechowała się do dzisiaj. Poniżej przytaczam ją wyjaśniając, że moja nieporadność w pisaniu tłumaczy to, że miałem wtedy 15 lat, pisałem jednym „ciągiem”, bez żadnych poprawek stylu, gramatyki i interpunkcji, bez żadnego „szlifowania”, gdyż miała to być tylko „podpórka” przy wygłaszaniu gawędy.

„Obudził mnie ruch w domu. Wkrótce przychodzę do przytomności i odnajduję przyczynę tego ruchu. Wszak to mój wyjazd na obóz! Szybko wstaję wyglądam oknem i widzę swe nadzieje zawiedzione. Leje deszcz i silny wiatr przegina drzewa. Jednak w duszy jasno. Zaczęły się wakacje i jadę na pierwszy w moim życiu obóz harcerski. W takich chwilach śniadanie schodzi na drugi plan to też mama musi mi kilka razy o nim przypominać, zanim coś w siebie wrzuciłem. Ojciec zaprzęga na podwórze konie, aby zawieźć mnie do miasta skąd wspólna furmanką mamy jechać dalej. W domu ostatnie przygotowania. Plecak mam już spakowany. Ciężki, że ledwie podnoszę go w obu rękach a o włożeniu na plecy nie ma mowy. Teraz następują nakazy, uwagi i rady: a nie pij wody, gdy się zgrzejesz, a nie przemęczaj się, a to a tamto itd. Później nastąpiła sprawa ubrania. Oprócz munduru harcerskiego butów i skarpet musiałem wziąć jeszcze marynarkę, kurtkę i płaszcz nieprzemakalny. O miły druho, jeżeli kiedykolwiek pojedziesz na obóz nie daj się nigdy namówić na wzięcie czegoś podobnego. Na dworze leje jak z cebra, lecz wpakowano mnie z wszystkimi manatkami na furmankę. Ostatnie pożegnania, przestrogi i ruszyliśmy wśród błogosławieństw rodziny. Do punktu zbornego jest dwa kilometry. Tam czeka inna furmanka- jedziemy wozem szpitalnym, który użyczył dyrektor szpitala. Po drodze zabieramy Ryśka Józwiakowskiego, syna pani dyrektor. Teraz, jako drużynowy, musiałem wysłuchać przestrogi i rad p. dyrektor. Wreszcie wóz ruszył dalej. Zabrawszy jeszcze jednego pasażera ruszyliśmy w drogę. Było nas wszystkich dziewięciu. Deszcz się zmniejszył i była nawet nadzieja, że zupełnie się wypogodzi. Nakrywszy się pelerynami zaczęliśmy śpiewać. Szły po kolei piosenki harcerskie, wojskowe, ludowe. Ryczeliśmy tak do Zamościa. W przerwach między jedną piosenką a drugą posilaliśmy się. Wkrótce też zabrakło zapasów będących na wierzchu. Chmury gdzieś poznikały i do Zamościa wjechaliśmy przy dość ładnej pogodzie o godz. 9- tej.

Zajeżdżamy przed Zamojskie Gimnazjum gdzie już ze 40 harcerzy czeka na hufcowego. Wkrótce nadchodzi ze swoim zastępcą dh. Woźniakiem i następują powitania. Raportuję o swoim przybyciu i że czekamy dalszych instrukcji. Mamy z resztą oddziału maszerować, a nasza furmanka i jeszcze druga zapełnia się szybko plecakami i odjeżdża. Idziemy w kilkunastu do RKU Zamojskiego celem zbadania przez wojskowego lekarza. Badania wypadły pomyślnie i teraz maszerujemy pod komendę hufca. Dostajemy lance formujemy kolumnę i wyruszamy do odległego o 6 km Wysokiego. Przez miasto idziemy pod werbel. Ludzie przystają podziwiając tych 10 czwórek maszerujących równo, a duża gromada dzieci odprowadza nas za miasto. Na przedmieściu werblista przestaje bębnić. Teraz dopiero mamy kłopot. W uszach dźwięczy cisza po ogłuszającym huku werbla. Piosenki nie możemy zaśpiewać, bo jesteśmy zbieraniną z różnych drużyn, więc jedni umieją tę, a inni inną. Więc po chwili znowu werbel, a potem marsz otrąbiono. W połowie drogi pięciominutowy postój. Jeść chce się piekielnie to też kieszonkowe zapasy nikną bardzo szybko. Cały czas idziemy przez lessowe pagórki szosą I klasy. Schodząc z ostatniego pagórka widzimy około ½ km przed sobą szkołę, w której mamy obozować. Przed szkołą wyciągnięci w szeregu oczekują nas maruderzy, którzy pojechali furami. Mijamy gminę, gdyż Wysokie to wieś

gminna z pocztą i posterunkiem milicji. Jesteśmy około 100 m przed szkołą. Maruderzy witają nas rakieta i salutem lanc. Przechodzimy przed nimi na baczność i wchodzimy na podwórze szkolne. Tu krótka przemowa komendanta dh Bojara i wchodzimy na korytarz szkolny. Szkoła jest to wielki prostokątny jednopiętrowy budynek. Na dole mają być kuchnia, jadalnia i siedziba komendy. Na górze sypialnie. Stoimy na sto metrowej długości korytarzu w szeregu. Najpierw jedynka zamojska potem dwójka trójka itd potem my Szczebreszacy, potem z Wysokiego i Sitańca. Teraz dopiero mam kłopot. Trzymaj w rękach, bo położyć nie wolno plecak i lancę, płaszcz i kurtkę i jeszcze spis swoich druhów jak się nazywają, jaki mają stopień, ile mają lat itd. Wreszcie idziemy do jadalni i obiad ze swoich zapasów. Nikną ich całe góry. Jeżeli będziemy tak jedli zawsze, to po obozie grubo przybędzie nam na wadze. Wreszcie kończymy obiad, składamy plecaki i zbiórka. Wszystko idzie nieskładnie, ale mamy nadzieję, że wkrótce będzie lepiej. Bierzymy sienniki i podzieleni na małe grupki pod przewodnictwem miejscowych druhów idziemy je napychać. Zachodzimy do bogatego gospodarza gdzie leżą całe sterty kilkuletniej słomy. Pytamy się czy nie można by dostać trochę słomy. Gospodarz bez namysłu pozwala. Jak później się dowiedziałem jest to brat mojego znajomego ze wsi, w której mieszkam. Później nieco byłem u tego gospodarza w domu. Dom dobry, duży, w mieszkaniu wszystko elegancko aż się świeci. Kilka pokoi dużych wysokich z wielkimi oknami, podłogi malowane ładne meble, pianino, biblioteczka. W ogóle Wysokie to bardzo kulturalna wieś. Szosa I klasy wysadzana drzewkami, elektryczność, wzorowe gospodarki, w domach widać dostatek, a przecież nie ma we wsi gospodarzy mających więcej niż 25 ha. Wieś jak i szkoła leży nad około 150 m szerokości pradoliną czarnej strugi, której szerokość wynosi dzisiaj 2 m. Szkoła jest oddalona od strugi 50 m, lecz jest tak strome zejście, że jeżeli jest błoto, a jest tam ziemia lessowa, jest niemożliwością zejść. W tej strudze zawsze mylił się i szorowało się naczynia.

Wracamy z siennikami i lokujemy się na salach. Nam wszystkim Szczebreszakom przypada sala 2- ga. Układamy sienniki i znowu zbiórka. Idziemy do lasu. Do lasu jest około 1 ½ km w kierunku północnym. Przechodzimy przez kładkę na strudze. Kładka bardzo słaba. Trzeba będzie zrobić mały mostek żeby było wygodniej chodzić i żeby została po nas jakaś pamiątka. Idziemy ciągle przez pola zasiane zbożem”.

Dzisiaj dla wyjaśnienia dodam, że odwoziła nas furmanka szpitalna udzielona przez dyrektora szpitala dra Klukowskiego. Z powrotem zostaliśmy przywiezieni przez mojego ojca. W wieku, kiedy to pisałem, wszystko wydaje się duże. Stąd i korytarz szkoły w Wysokim miał 100 metrów długości. W latach czterdziestych XX wieku dom na wsi, przynajmniej zamojskiej, z dużymi oknami, malowaną podłogą, a tym bardziej z pianinem i biblioteczką był wyjątkiem. Sam znałem kilka domów, gdzie zamiast podłogi był polepa gliniana.

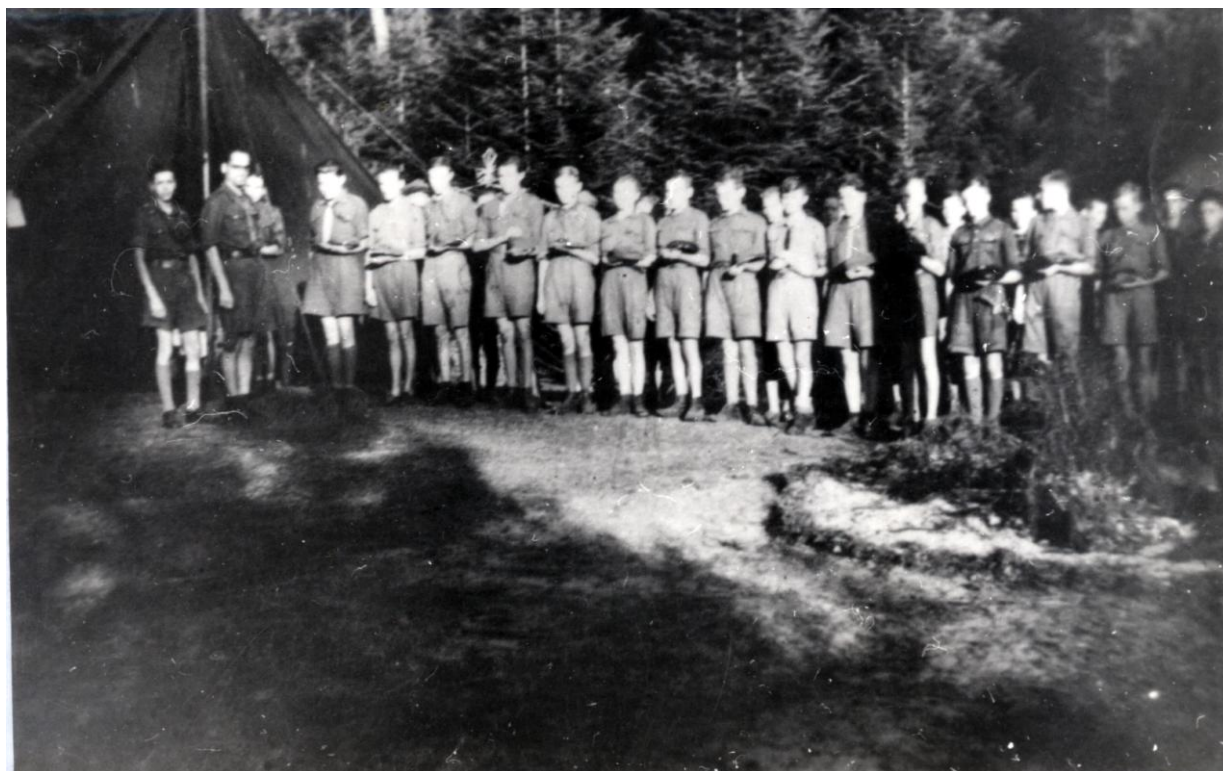
Ze Szczebreszyna uczestnikami (alfabetycznie) tego obozu byli:

Mirosław Bizior	Henryk Józwiak
Andrzej Józwiakowski	Ryszard Józwiakowski
Romuald Kołodziejczyk	Marian Kopyciak
Tadeusz Kościelski (Klukowski)	Sylwester Mucha
Aleksander Piwowarek	

Drugi obóz został zorganizowany w 1946 roku w Zwierzyńcu, w lesie na Bukowej Górze dzisiaj ścisłym rezerwacie. Obóz rozbiliśmy pomiędzy gajówką, a wierzchołkiem góry. Niezbyt daleko od jeziora „Echo”, wówczas jeszcze mało popularnego, w którym to jeziorze myliśmy się każdego ranka. Obóz zaczął się źle, gdyż pierwszych kilka dni padał deszcz i nie mogliśmy wysuszyć namiotów. Spaliśmy w stodole gajowego. Później z każdym dniem było lepiej. Obóz był bardzo udany dzięki dobremu kierownictwu, które umiało atrakcyjnie urozmaicić zajęcia, ogniska itp., a jednocześnie utrzymać odpowiednią dyscyplinę, która sprawiała, że wszystko przebiegało sprawnie „jak w zegarku”. Szचेbrzeskie drużyny miały liczną reprezentację, bo na około 40 wszystkich harcerzy było nas około 20. Byli drużynowi I, II i III drużyny Romuald Kołodziejczyk, Ryszard Józwiakowski i Marian Kopyciak.

Z naszej drużyny mój przyboczny Tadek Kościelski, zastępowi Mirosław Kalita i Andrzej Józwiakowski, a także Wacław Drożdżyk, Henryk Józwiak, Cezary Klus, Aleksander Piwowarek. I inni.

Ludność Zwierzyńca dopisywała na licznych ogniskach itp. imprezach.



Ze zbiorów dra Andrzeja Józwiakowskiego  
Bukowa Góra. Modlitwa.

„O Panie Boże Ojczy nasz,  
W opiece swej nas miej  
Harcerskich serc Ty drgnienia znasz  
Kierować nimi chciej  
Wszak Ciebie i ojczyznę, miłując chcemy żyć  
Harcerskim prawom w życia dniach  
Wiernymi zawsze być”

W roku 1947 władze chciały z harcerstwa zrobić coś w rodzaju radzieckich pionierów. Pierwszym krokiem miała być zmiana prawa i przyrzeczenia harcerskiego polegająca na wyrzuceniu z nich słów Bóg i Ojczyzna, a wprowadzeniu w to miejsce słowa socjalizm. W odpowiedzi powołano, przy zamojskim hufcu ZHP, celem utrwalenia w nas dotychczasowej idei harcerskich, pół legalne koło starszo harcerskie złożone z drużynowych, ich przybocznych i kilku starszych wiekiem i stopniami harcerzy. Z naszej drużyny oprócz mnie był Tadeusz Kościelski (Klukowski) i Andrzej Józwiakowski. Inauguracja odbyła się wieczorem w lesie za Brodzą Górą koło Szczepieszyna, przy ognisku, gdzie każdy z nas na brzoźowej korze wypisywał swój pseudonim harcerski.